

# Wina i pokuta

6)

(Z angielskiego).



— Rozprawa, która odbędzie się na skutek doniesienia prokuratury przeciwko panu — mam nadzieję, że wyjaśni wszystko.. Jeżeli sprawa weźmie obrót pomyślny dla pana, będzie mi bardzo miło, bo dotychczas cieszył się pan ogólnym szacunkiem...

— Ależ...

— Na razie muszę stwierdzić stan rzeczy i zadać panu kilka pytań.

— Proszę, niech pan pyta...

Z warg Mortona, który opuścił się ciężko na fotel, uciekła krew. Błędny jakimś wzrokiem wpatrywał się w komisarza.

— Zatem przyznaje pan, że sztylet należy do pana?

— Należał... W chwili kiedy spełniono morderstwo, sztylet ten nie był już moją własnością...

— Jakto?

— Podarowałem go Robertowi.

Komisarz nawet nie starał się ukryć niedowierzania.

— To byłoby niezmiernie proste wytłomaczenie. Ale gdzie dowody? I skąd pan przyszedł do posiadania broni, która jest pochodzenia wschodniego? Czy pan kolekcjonuje takie rzeczy?

— Nie. Sztylet ten otrzymałem od starego antykwarza żyda Mojżesza Goldenringa na Square Street... Był mi winien pewną sumę pieniędzy i nie mogąc wypłacić ofiarował ten sztylet... Może go pan zapytać... Nazwisko moje kazałem na pochwie wyryć dopiero później... Mogę panu służyć nazwiskiem gawera.

— To wszystko drobnostki — rzekł komisarz. — Ale jak się to stało, że pan podarował sztylet, na którego pochwie wyryte było pańskie nazwisko?

— Stało się to w pierwszych dniach — zaraz po powrocie Roberta z Indii. Sztylet podobał mu się bardzo, mówił, że nigdy nie widział tak pięknej misternej roboty.

— I prosił o podarowanie mu sztyletu?

— Sam mu go ofiarowałem. Nie zależało mi na tem cacku, a chciałem Robertowi zrobić przyjemność.

— Ma pan na to świadków?

Morton zamyślił się.

— Może moja siostra... Ale nie, bo właśnie wtedy nakrywała do stołu w jadalni... Robert miał u nas zostać na obiedzie.

— A potem już nic o tej sprawie nie mówiono?

— Nie. Pocóżby? Robert schował sztylet do kieszeni i koniec na tem.

— Chciałbym jednak pańską siostrę odnośnie tej sprawy przesłuchać. Może sobie coś przypomni.

— Niestety, wyjechała.

— Szkoda. Panie Morton! w nocy z 27-go na 28-go maja był pan na koncercie w hotelu „Splendid” i służył pan hypnotyzerowi Haired-din-beyowi za medyum... Czy pan sobie przypomina może, co on panu sugerował?

— Nie, tego absolutnie sobie nie przypominam.

— Ale ja wiem co to było. On budził w panu uczucie zazdrości miłosnej i w swoim śnie hypnotycznym rzucał się pan na urojonego rywala, aby go zamordować...

Morton uczuł, że serce mocno szarpnęło mu się w piersi.

— Nic sobie z tego wszystkiego nie przypominam... I nikt ze znajomych nie opowiadał mi o tem...

— A czy pan wie co to jest suggestja post-hypnotyczna?

— Wiem, jest to suggestja, której działanie trwa po obudzeniu zahypnotyzowanego.

— Otóż to właśnie. Czy nie sądzi pan, że Haired-din-bey mógł mieć jakiś interes w budzeniu takich a nie innych uczuć w panu?

— Nie rozumiem pana — odrzekł szczerze Morton.

— Może śmierć Macmorrisa mogła mu przynieść jakieś korzyści...

— Nie wiem, czy on wogóle znał Macmorrisa... W tym kierunku nie mogę dać żadnych informacji — odparł chemik, który nie mógł pojąć, do czego komisarz zdążył.

— A o której godzinie opuścił pan wtedy hotel „Splendid”?

— O której?... doprawdy nie wiem... nie pamiętam...

— Pomogę pańskiej pamięci... Było to przed północą...

— Prawdopodobnie... i mnie się tak wydaje...

— I dokąd pan poszedł stamtąd?

— Nie wiem...

— Jakto nie wie pan, dokąd pan poszedł?

— Byłem ogromnie podrażniony, zdenerwowany... Zdaje mi się, że błądziłem po ulicach dłuższy czas bez celu...

— Ale w mieszkaniu Macmorrisa pan nie był?

— Z pewnością nie!

— Widziano pana jednak kilkakrotnie w pobliżu willi Orichona.

— To możliwe.

— A więcej nie ma mi pan nic do powiedzenia, panie Morton? — zapytał komisarz, przysuwając młodego chemika przenikliwym spojrzeniem swoich stalowych źrenic.

Morton wzruszył ramionami.

— Doprawdy, że nie wiem, co bym mógł panu jeszcze ciekawego powiedzieć...

— W takim razie poproszę pana, ażebyś mi zechciał towarzyszyć...

— Dokąd?

— Do sędziego śledczego.

Wargi Mortona zadrżały.

— Więc to znaczy, że jestem aresztowany?

— Jeśli pan nie potrafi dać innych wyjaśnień ponad te, co przed chwilą — aresztowanie jest nieuniknione...

— Więc proszę mi pozwolić na chwilę...

— O! dokąd to, proszę pana? — komisarz Gray zastąpił mu drogę. Jeżeli miał przed sobą zabójcę z zazdrości, to należało strzedz go przed samobójstwem.

— Chcę tylko napisać parę słów do mojej siostry, która wyjechała do chorej przyjaciółki i może lada chwila powrócić...

— Pozwoli pan, że będę niedyskretnym i list ten przeczytam.

— Ależ, proszę bardzo. Chodzi mi tylko o to, aby biedaczkę trochę uspokoić. Ona mnie tak bardzo kocha...

\* \* \*

Henryk Morton z pierwszego przesłuchania u sędziego śledczego powrócił do swej celi jak lunatyk.

Sędzia stawiał mu te same pytania, co poprzednio komisarz, a on dawał identyczne odpowiedzi. Wszak nie mógł inaczej odpowiedzieć. A jednak dręczyło go jakieś głuche przecucie, że nie wszystko powiedział, że więcej wiedzieć powinien, niż zawodna pamięć chce mu objawić.

Ale ilekroć usiłował myśleć o tem, czuł przykry ból w mózgu, jakby mu czaszkę przeżywał jakiś ostry, rozpalony drucik.

Godzinę przeszło siedział, posępnie zadumany — na kraju twardego, więziennego łóżka, gdy nagle drzwi otwały się.

Morton, sądząc, że to jest dozorca ze strawą, nawet nie podniósł głowy.

— Panie Henryku...

Dźwięk tego głosu zelektryzował więźnia.

— Ach! to pan, panie mecenasie!... Przyszedł mnie pan odwiedzić!

— Byłbym to zrobił wcześniej, gdybym się zdołał uwolnić od nawału zajęć!... Panie Henryku, poproszę wierzyć mi się nie chce!... Ten nieszczęsny zbieg okoliczności i ta pasja defektywiczna Graza, który już przedtem weszyl jakąś niesłychaną historię!... I jak pan pod tem okropnem podejrzeniem cierpieć musi!...

Morton przerwał potok słów adwokata Thompsona.

— Dziękuję panu — silnie uściśnął młodemu prawnikowi rękę — o mnie mniejsza, każdy ma to, na co zasłużył, ale moja biedna siostra...

— Czy miss Molly wróciła?

— Zapewne już, albo dziś, jutro... Zostawiłem jej kartkę z kilku słowami, ale cóż to znaczy!... Wyobrażam sobie jej niepokój!... rozpacz!...

— Odwiedzę miss Molly, skoro tylko przyjedzie i postaram się ją uspokoić...

— Doprawdy? robi to pan? Moja wdzięczność dla pana... Tylko niech pan ją ostrożnie zawiadomi...

— Będę się starał wlać w jej serce otuchę i nadzieję... Nadzieję najkompletniej uzasadnioną... Pozwoli pan, że obejmę pańską obronę... Dotychczas zwykle udawało mi się nieźle... A przytem pańska niewinność...

— Niewinność!... — powtórzył jak echo Morton. — Czy pan istotnie jest tak niezłomnie przekonany o mojej niewinności?

Thompson zaśmiał się, ale śmiech jego dźwięczał trochę nienaturalnie.

— Pan żartuje, panie Henryku!... Widzę, że pomimo przykrej sytuacji — jest pan w dobrym humorze; bo przecież nie chce mi pan powiedzieć...

— ...Że jestem winnym... Ba! gdybym to w mojej świadomości mógł odszukać dowody mej niewinności... Ale w łańcuchu wypadków ostatnich dni brakuje jakiegoś ogniwa... Dwa strumienie krwi rwą i szaleją... jeden w tę, drugi w tamtą stronę, czuję to dobrze, ale połączenia brak!... Most zerwany!...

— Panie Henryku!... na miłość Boską!...

Morton osłupiałym wzrokiem spoglądał przed siebie.

— Czyż my możemy powiedzieć, że znamy samych siebie? Kto wie?... możemy mieć dwie dusze, w jednym człowieku może być dwóch ludzi... Byłem raz w teatrze na takiej sztuce... Prokurator, który prowadzi śledztwo w sprawach przestępstw, których dopuszcza się jego drugie „ja”. A ja w moim mózgu nosiłem dziwny niesamowity obraz: jego twarz — Roberta!... I tego nieszczęsnego wieczoru także... Ale od czasu śmierci Roberta — obraz zniknął... Dlaczego? Co się w tem kryje?... Może oni mają rację... może ja naprawdę zamordowałem Roberta!...

Na twarzy adwokata malowało się przerażenie.

— Ależ to szaleństwo! — wykrzyknął. — To jakieś halucynacje!... przywidzenia!... pan jest chory!... bardzo chory!... I nie sędzia, ale lekarz powinien się panem zaopiekować...

— A jednak... coraz mocniej to czuję, że to ja... że to ja... za...mordowałem!...

Głos łamał mu się, zamierał w gardle. Opadł na łóżko, ukrył twarz w poduszkę i trwał tak bez ruchu.

Thompson opuścił celę przygnębiony, prawie zrozpaczony.

Następnego dnia dzienniki przyniosły sensacyjną wiadomość, że inżynier-chemik Henryk Morton wyznał, iż to on zamordował Roberta Macmorrisa. Czynu tego dokonał w stanie zupełnego zaćmienia świadomości, tak że żadnych szczegółów zabójstwa nie przypomina sobie i podać nie może. Powodem zbrodni była straszliwa, opatańcza zazdrość, granicząca z niepoczytalnością!...

— Nie wiem kiedy, nie wiem jak — oświadczył Morton — ale zamordowałem!...

Dla zbadania jego stanu umysłowego — odesłano Mortona do kliniki psychiatrycznej.

## ROZDZIAŁ IX.

„Ja! go zabiłam!...”

Alicja Belmore niecierpliwie uderzyła nogą w posadzkę wyścieloną miękkim kobiercem.

— Katty!...

— Już idę, proszę pani...

— Gdzież ty siedzisz tak długo? Chodź-że!...

— Ależ jestem!... jestem!...

I Katty wbiegła do pokoju, niosąc w ręku niewielki pakunek...

— Ach!... jak wielmożna pani dziwnie wygląda!...

— Dziwnie? dlaczego? co ci znowu przyszło do głowy!...

— W tej czarnej aksamitnej sukni, to pani wygląda jak królowa, ale jak taka co ma iść na pogrzeb!... Jakby jakieś nieszczęście stać się miało!...

— Głupia jesteś!... denerwujesz mnie, a wiesz, że teraz potrzebuję spokoju przed moją podróżą... Zamiast pleść głupstwa, bierz się do pakowania!... Nie mam ochoty spóźnić się na pociąg... W Ameryce czekają na mnie!...

Katty westchnęła ciężko:

— Ach! Boże... pani odjeżdża na tak długo... do Ameryki... ta daleka podróż morską... Jakże-bym się cieszyła, gdyby pani była już z powrotem!...

— Powróci?... cóż mi po powrocie? — wyszeptala artystka. — No paku! paku! Katty — tylko uważnie i nie mów tak wiele!...

Katty już miała odejść, ale jeszcze zatrzymała się w progu. Chwilę wahała się, wreszcie rzekła:

— Przepraszam panią, ale może panią zainteresuje!...